

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Interes pozorny a rzeczywisty.

„Zanim jeszcze nie późno, całe społeczeństwo Litwy, jak również i Łotwy powinno zrozumieć, że Polska jest jedynym państwem, dla którego istnienie suwerennych, silnych politycznie i gospodarczo państw bałtyckich jest kwestją pierwszorzędną wagi. Zainstalowanie się na północy Rosji albo Niemiec może być dla nas groźnem. Wał obronny od Zatoki Finskiej do morza Czarnego ochroni wszystkich przed imperjalizmem wschodu jak również i zachodu”.

Powyższymi słowy kończy obszernie swe rozważania na temat unji państw bałtyckich p. Norbert Żaba w jednym z ostatnich numerów „Kurjera Wileńskiego”.

Żądanie autora wydaje się nam mocno wygórowane. Czy można wymagać od Litwy i Łotwy zrozumienia stanowiska Polski, którego ona sama nie rozumie? Gdyby bowiem polityka polska istotnie szczerze i konsekwentnie dążyła do stworzenia wału obronnego od Bałtyku do morza Czarnego, to 1) w sprawie Wilna nie zajmowałaby pozycji nieprzejednanej, wykluczającej wszelki kompromis z Litwą, 2) w Łotwie nie popierałaby lekkomyślnej taktyki letgalskich wszechpolaków, 3) w stosunku do Białorusinów nie uprawiałaby metod krótkowzrocznego nacjonalizmu i 4) Galicji Wschodniej nie uważałaby za część Małopolski ze wszystkimi wynikającymi z tego założenia konsekwencjami.

Ale polityka polska postępuje wręcz odwrotnie, a publicyści polscy — niektórzy nawet szczerze — wyrażają swe zdziwienie z powodu pełnej rezerwy postawy państw bałtyckich, nie chcąc lub nie mogąc pojąć tej prostej i oczywistej prawdy, że Polska w jej stanie obecnym, opanowana z jednej strony przez tępy nacjonalizm endecki, a z drugiej przez wielkomocarstwową, imperjalistyczną megalomanję,

nie może budzić u sąsiednich małych narodów ani sympatji, ani szacunku, ani poczucia wspólnego interesu.

A przedewszystkiem interesu. Bo weźmy np. Litwę i przypuśćmy nawet, że zatarg o Wilno został uregulowany i nic nie stoi na przeszkodzie nawiązaniu pomiędzy nią a Polską bliższych stosunków. Co może dać Polska Litwie, wzamian za, dajmy na to, wyraźny wspólny front antyniemiecki? Pod względem ekonomicznym — b. niewiele, bo w Polsce Litwa nie znajdzie rynku dla swego eksportu, pod względem zaś politycznym i militarnym jeszcze mniej, gdyż mając blisko trzecią część swej ludności, usposobioną obojętnie (Żydzi), niechętnie (Białorusini), a nawet wrogo (Ukraińcy i Niemcy), Polska w razie jakichś powikłań zewnętrznych znajdzie się w tak trudnej sytuacji, że nie tylko nie będzie mogła stanowić oparcia dla pozostałych członków ewentualnego związku bałtycko-czarnomorskiego, lecz raczej będzie musiała szukać jakiejś pomocy, by uratować swój własny stan posiadania, jeśli nie egzystencję. Wzamian za to Litwa, przechodząc wyraźnie do obozu antyniemieckiego, stawiałaby na kartę los nie Kłajpedy tylko, ale byt całego państwa. Jakież to interes dla niej?

Inne warunki i perspektywy zaistniałyby w tym wypadku, gdyby polityka polska zerwała radykalnie z dotychczasowym kursem nacjonalistyczno-mocarstwowym i weszłaby na drogę, którą wskazywał w zaraniu odradzającej się jej państwowości liczny wówczas i wpływowy obóz federalistów. Zaniechanie ekspansji na wschodzie, załatwienie polubowne sporu o Wilno z Litwą, usamodzielnienie Ukrainy Zachodniej, szeroka autonomia ziem białoruskich, dążenie do wskrzeszenia W. Ks. Litewskiego — oto program, który może istotnie zelektryzować narody, zamieszkałe na rubieży Wschodu i Zachodu Europy, który może zapewnić Polsce rolę wpływową i którego

szczera realizacja może zapewnić rację bytu koncepcji związku bałtycko - czarnomorskiego. Zjednoczenie sił wszystkich państw i narodów między dwoma kolosami: Rosją a Niemcami, skoordynowanie ich dążeń w jednym kierunku — obrony przeciw zachłanności brunatnego w bliskiej przyszłości Berlina i czerwonej Moskwy — jest to wielki cel, dla którego warto złożyć w ofierze ambicje i egoizmy narodowe. W należeniu do takiego rozległego związku, nie osłabianego przez wewnętrzne antagonizmy zasadnicze, w którymby nieuniknione tarcia nie nabierały charakteru walki na śmierć i życie — i Litwa i Łotwa niewątpliwie widziałyby swój interes, bo tą drogą uzyskiwałyby najskuteczniejszą gwarancję swej niepodległości, nie tracąc nic ze swej suwerenności.

Marzenia i fantazje — powie ktoś na to. Zapewne przy dzisiejszym stanie umysłów, wobec rozpasania się brutalnych nacjonalizmów, gdy święci właśnie triumfy najskrajniejsza demagogja — snuć tego rodzaju plany może się wydawać szaleństwem. Ale czyż nie jest jeszcze większą utopją w epoce komunizmu, hitleryzmu i faszyzmu dyskutować poważnie nad projektem Paneuropy? A jednakże, mimo najniepomyślniejszych warunków, propaganda idei paneuropejskiej nie ustaje i czyni znaczne postępy. Nie należy być pesymistą i niedoceniać znaczenia czynnika propagandystycznego.

Zresztą cóż nam więcej pozostaje czynić tu w Wilnie, w naszym opłakanym położeniu, jak nie pocieszać się nadzieją lepszej, jaśniejszej przyszłości? A przecież musimy zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, że ta lepsza przyszłość oczekuje Wilno jedynie wtedy, gdy stanie się ono ośrodkiem lub przynajmniej jednym z głównych centrów życia politycznego na rubieży Wschodu i Zachodu. A do tego jest potrzebne porozumienie między Polską a Litwą, ożywienie uspionych białoruskich rozłogów, kontakt z Ukrainą. A to znów jest niemożliwe bez zmiany dotychczasowego kursu polityki polskiej.

I gdyby Wilno uświadomiło sobie dobrze warunki swego rozwoju, wytknęło sobie jasno drogę postępowania i mocno się jej trzymało, kto wie, czy jego głos i stanowisko nie wywarłyby pewnego wpływu na politykę Warszawy. Ale właśnie z Wilna rozlegają się nieraz najbardziej jaskrawe hasła zachłannego nacjonalizmu i imperjalizmu, które umacniają czynniki kierownicze w wierze w słuszność stosowanych dotąd metod.

Śmieszną jest rzeczą wskazywać Litwie na czym polega jej interes, gdy samo społeczeństwo polskie nie jest zdolne do jego zrozumienia, a już całkiem zabawnie wygląda, gdy z podobnymi radami występuje Wilno, które tak fatalnie pokierowało swymi własnymi interesami.

Nikt jakoś nie zwrócił dotąd uwagi na wysoce dziwne zjawisko, chociaż rzuca się ono w oczy.

Jak wiadomo, mamy do czynienia z olbrzymim i coraz wzrastającym napływem elementu obcego do urzędów miejscowych. Wszystkie niemal stanowiska wybitniejsze u nas w administracji czy to ogólnej, czy szkolnej, czy w rozmaitych resortach specjalnych są obsadzone przez ludzi, przyjezdnych najczęściej pochodzących z Małopolski. Dzieje się tak podobno dlatego, że nie posiadamy dostatecznej ilości fachowców, że brak miejscowych sił wykwalifikowanych.

A jednocześnie do rządu centralnego raz po raz są powoływani właśnie wilnianie, względnie wogóle tak zwani „kresowcy”. W ciągu ostatnich kilku lat teki ministerjalne dzierżyli lub piastują je obecnie: p. p. Meysztołowicz, Staniewicz, Jan Piłsudski, Prystor, Zawadzki, Ludkiewicz, Niezabytowski, ks. Żongolłowicz, gen. Konarzewski, nie mówiąc już o samym ministrze wojny. Nawet Senat ostatnio reprezentują profesor uniwersytetu wileńskiego, a po nim długoletni wojewoda wileński, rodem z Mińska.

Więc jedno z dwojga: albo mamy nadmiar ludzi zdolnych i kompetentnych, którzy nie mogą znaleźć zastosowania dla swych zdolności u siebie w domu, albo do rządzenia państwem, do zasiadania na fotelach ministerjalnych, do kierowania ciałami ustawodawczymi nie potrzeba żadnych specjalnych kwalifikacji i umiejętności.

Tak lub owak zjawisko jest niezmiernie paradoksalne.

VAIŽGANTAS.

Spokojniewiczowie i Niespokojniewiczowie.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

(D. c.)

Brunetka Spokojniewiczowa miała krew o wiele gorętszą, niż Niespokojniewiczowa. Ale że była dobrze wychowaną przez swą matkę, która miała w sobie bardzo wiele anielskiej dobroci i spokoju, więc umiała po szlachecku panować nad sobą. Nikt z jej ust nie usłyszał mowy głośniejszej, niż trzeba. Umiała pohamować się, gdy na nią gderano, lub łajano ją i nigdy nie odpowiadała ostro ani rodzicom, ani obcym. Patrzyła na świat wesoło swymi spokojnymi oczkami z uległością i posłuszeństwem, niczem owieczka, przeznaczona na rzeź.

Była też bardzo kochaną przez swych rodziców. Nie z gniewu, lecz z miłości nazywali ją rodzice owcą, i to jej się podobało.

Owca — dobre stworzenie. Nikogo nigdy nie skrzywdzi. Ani rogów nie ma, ani kłów, ani pazurów. Chyba tylko Panu Bogu poskarży się swym żalosnem: „Meel!” A jak kocha swe dzieci! Nawet gdy je, to i wtedy ich z oczu nie spuszcza. Jak tylko które się oddali, to zaraz: „Meel! Gdzie ty? Wróć do mamy!”

Wyszedłszy za mąż za Spokojniewicza, który był również zrównoważonym człowiekiem, wniosła mu do domu ducha spokoju. Na ich podwórku nie słychać było kłatw, ani kłótni. Chociaż czasem się posprzeczała, umieli jednak jakoś przedko się pogodzić. Tak też Spokojniewiczowa chowała swe dzieci. Wychowywała je starannie i swym delikatnym wpływem kobiecym oddziaływała na ich charakter, serce i duszę. Jeżeli złała które, to nigdy inaczej, jak tylko: — Idź ty, owco, baranie!

O prezentach.

Ile razy czytam w „Słowie“ artykuł Cata, stale niemal odnoszę wrażenie, że ze szpalt „Słowa“ przemawia osobnik stojący w wyzywającej pozie, z rękami w kieszeniach, w czapce na bakier i z papierosem w ustach, rzucający niedbale w tłum słowa dobitne i jaskrawe aforyzmy. Ot tak sobie, po części dla uwydatnienia swojej wybujałej indywidualności, po części zaś pour epater le bourgeois. A ludziska słuchają. Jedni z politowaniem lub niesmakiem kiwają głowami, drudzy gotowi oburzać się, inni poważnie medytują nad pytaniem: „czy to umysłowość wschodnia czy romańska“?, inni wreszcie są zachwyceni dezinvolturą i tupetem mówcy, wnoszącego nieco urozmaicenia i ożywienia w atmosferę powszechniej nudy i szarzyzny. Natomiast nader rzadko traktowane są jego występy poważnie.

Niesłusznie bodaj. Bo, mimo swej groteskowej formy, myśli i poglądy p. Cata są niejednokrotnie odbiciem panujących w sferach miarodajnych nastrojów, a nie jest nawet wyłączone, że w pewnej mierze je wytwarzają. Z tego też względu zasługuje na uwagę jeden z ostatnich artykułów p. Cata z dn. 17.IV b. r. p. t. „Amatorstwo robienia prezentów“

Prawosławnym biskupem w Łucku został archimandryta Polikarp, Ukrainiec i oto dla pana Cata gotowy powód do udawania zaniepokojenia: może to samo stać się u nas z mianowaniem biskupa białoruskiego.

Jak z rogu obfitości posypały się maksymy p. Cata: „Nigdy pod żadnym pozorem nie można porównywać sprawy ukraińskiej do białoruskiej“. „Białorusyzacja Cerkwi—nonsens“. A na innym miejscu w tym samym artykule: „Jestem skrajnie ugodowo nastrojony wobec Ukraińców galicyjskich—ale to nie znaczy wcale, abym na Wileńszczyźnie, Nowogród—czyźnie i Polesiu chciał mieć drugą Galicję wschodnią“. Skoro nie można porównywać, to czemu p. Cat przeczy samemu sobie i Galicję Wschodnią porównuje z ziemiami białoruskimi?

Nie ulega kwestji, że ruch ukraiński jest znacznie silniejszy od białoruskiego, ponieważ o dobre półwieku jest od niego starszy, lecz to nie znaczy by w tych zjawiskach nie było analogji. Rozwój ruchu białoruskiego jest wystarczająco słaby do jego

tamowania, lecz z drugiej strony jest dostatecznie silny, by nie dał się całkiem stłumić.

Tamowanie tego ruchu, zdaje się jest najważniejszym zadaniem p. Cata, szkoda tylko, że p. C. zapomina do czego prowadzi takie tamowanie. Przykładów tego historia daje całe setki.

Mówiąc o białorusyzacji Cerkwi prawosławnej, o rosyjskim klerze wśród ludu białoruskiego, pracującym i zdany na łaskę lub niełaskę rządu, p. Cat, posuwa się do twierdzenia, że „stan obecny jest dla interesów państwa polskiego wprost doskonały“. A więc: rusyfikacja Białorusinów przez duchowieństwo rosyjskie, jego wysługiwanie się przed rządem za cenę zdobycia obywatelstwa polskiego, bierność i obojętność, karierowiczostwo, przepaść pomiędzy duchowieństwem a wiernymi i co zatem idzie rozkład prawosławia — wszystko to ma być w interesie państwa polskiego. Naiwnością wielką grzeszy przypuszczenie, że dzięki swemu odosobnieniu kler rosyjski poświęci się wyłącznie działalności religijnej. Tymczasem widzimy objawy niezwyklej demoralizacji, panującej jak na plebanjach prawosławnych, tak i pośród wiernych, którzy poczęli słusznie ich traktować jako urzędników, obcych duchowo i narodowościowo. Rolę duchowieństwa prawosławnego p. Cat chce sprowadzić do roli policji, czy agentów politycznych, którzy mają nie służyć ideałom chrześcijańskim, ale paraliżować lub opóźniać rozwój narodu białoruskiego. Zadania te są tak poniżające dla duchowieństwa prawosławnego, że muszą je ostatecznie zdeprawować.

Nie wchodząc w przecenianie przez p. Cata znaczenia zakrystji w czasach obecnych i niedoceniając siły świadomości narodowej Białorusinów, zastanówić się należy nad najbardziej (grzecznie mówiąc) dziwnym określeniem ze strony p. Cata zbiałoruszczenia Cerkwi prawosławnej jako bogatego *prezentu* dla Białorusinów. Comparaison n'est pas raison mówi mądre francuskie przysłowie. Nawet wtedy kiedy porównanie jest trafne. Cóż dopiero mówić o porównaniu „piernika z wiatrakiem?“ Niełatwo dociec jak w takiej zmachiawellizowanej umysłowości mogło zrodzić się pojęcie o prezentach w polityce wogóle. Każdy rząd, każdy nowoczesny dyktator może rezygnować z tych czy innych praw, może komuś zwrócić to, co zabrał, z obawy, by nie odebrano siłą, ale nigdy nie będzie bawić się w pre-

W zależności od tego, czy dziecko było w majtkach, czy w spódnicy.

Patrzy, bywało, Spokojniewicz na swą żonę, jak ta przy dzieciach się krząta i jak się wciąż o nie troszczy i niby szorstko, namarszczywszy się, ale w rzeczywistości z bezgraniczną miłością rzuci niechęć słowo zapożyczone od żony:

— Że to z ciebie owca prawdziwa. Przepadną twoje dzieci! — I wciągał do nosa szczyptę tabaki.

Więś nie mogła nie zauważyć różnicy, panującej między temi dwoma domami. Więc między swymi, za oczami zainteresowanych rodzin inaczej nie mówiono: „Krowy lub byki Niespokojniewiczów“ „owce lub barany Spokojniewiczów“. Ale bez żadnej chęci sztydzenia lub obrazy.

Gniewy.

Spokojniewicz z Niespokojniewiczem mogli przy najmniej sobie się przyglądać, podpatrywać nawzajem, bo to budziło zainteresowanie. Inni wieśniacy

nawet takiego zajęcia nie mogli dla siebie znaleźć. Wciąż jednakowo szare ich życie zamykało się ściśle w granicach ich rodzinnej wioski. Wszyscy nudzili się śmiertelnie. Zwłaszcza zimą. Długie godziny spędzali siedząc w kożuchach i czapkach na ławie za stołem u siebie w domu, czy też u sąsiadów. Nie było czem urozmaicić sobie życia, a nie umieli wynaleźć czegoś ładniejszego i weselszego. Wygadany plotkarz, znany szczekacz—kłamca, czy też dowcipniś byli we wsi tak cenieni, jak dobry kaznodzieja w kościele. A ponieważ o takiego nie łatwo, więc chwytało się najmniejszej sposobności do posmiania się, do pożartowania. Czasami jednak żarty stawały się prawdziwym barbarzyństwem, czasami nawet śmiercią się kończyły, lecz wszystko to nie ze złej woli.

Tej późnej wiosny na języki wioskowe trafili Spokojniewiczowie.

Trzymali oni najemnicę Kaśkę, słynną ze swego niezgrabiarstwa. Nikogo ona nie zaczepiała i jej nikt

zenty. Bo ustępstwa w polityce to wcale nie prezenty imieninowe w dniu św. Stanisława, tylko posunięcia wymuszone lub zapewniające pewne korzyści.

Wprowadzenie języka ojczystego do Kościoła—do Cerkwi i szkoły—to nie prezent, to nie akt łaski, czy wdzięczności, tylko słuszne przywrócenie człowiekowi najbardziej ludzkich i podstawowych praw. Gdzie człowiek zmuszony jest modlić się w języku obcym, tam mamy do czynienia z bezprawiem, gwałtem i uciskiem. A więc Białorusini potrzebują nie prezentu, nie łaski ani wdzięczności, tylko tego, co im słusznie się należy. I jeżeli ciemny chłop nie zawsze sobie uświadamia swe prawa, to jeszcze nie dowód, by realny polityk zechciał budować na tej nieświadomości, na ciemnocie potęgę państwową. Przykłady z rosyjskiego caryzmu są jeszcze zbyt świeże, by o nich można było zapominać. Niestety zawodowy polityk p. Cat najbardziej o tem zapomina lub udaje że zapomina.

Dla charakterystyki metod słownej szermierki p. Cata, muszę zwrócić uwagę na jeden szczegół pierwszorzędno znaczenia.

Jest tajemnicą poliszynela, że pseudonim „Cat” już dawno przestał ukrywać właściwe nazwisko autora. Prasa warszawska a szczególnie „Robotnik” najczęściej pisze: „Cat—Mackiewicz” albo poprostu poseł Mackiewicz i nie słyszało się jakoś aby p. Cat przeciwko temu protestował. Nie jest chyba także tajemnicą, że p. Stanisław Mackiewicz otrzymał mandat poselski formalnie z rąk chłopów białoruskich. Jak wiadomo powiaty dziśnieński, brasławski i postawski są to najbardziej białoruskie powiaty w Wileńszczyźnie, a tam właśnie kandydował p. Cat. Mandat ten już naprawdę można porównać z najniedorzeczniejszym prezentem, o ile wogóle o prezentach w polityce może być mowa. Ten prezent, to ponure świadectwo ciemnoty naszego chłopca i cynizmu tych, którzy na tej ciemnocie politycznej żerują.

Trudno o większą ironję losu. Poseł sejmowy zwalcza język ojczysty swoich wyborców, których uważa jedynie za nawóz dla obcej ekspansji.

Dodać należy, że zapoczątkowane przez p. Cata—Mackiewicza bałamucenie opinii w sprawie białoruskiej cerkwi, natychmiast jak na komendę po-

parli p. Wł. Studnicki i p. W. Ch., czołowi publicyści ze „Słowa”. Widoczny tu jest zorganizowany atak.

Czy jest on inspirowany z góry w celu zapewnienia poparcia rządowi ze strony kół skrajnie nacjonalistycznych, czy też jest to pomysł samego p. Cata w celu zjednania ich przychylniej opinii — tego nie podejmuję się rozstrzygać. Jest rzeczą niewątpliwą tylko, że w obozie rządzącym istnieje wyraźna tendencja do uczynienia endecji prezentu — z Białorusinów.

Al. S.

Krok wstecz.

Dzienniki miejscowe podały nieoczekiwaną wiadomość o likwidacji jedyne w kraju białoruskiego Seminarjum Nauczycielskiego im. F. Bohuszewicza w Wilnie. „Słowo” zaś dodało od siebie, że władze szkolne zdecydowały się na ten krok z powodu rzekomej małej ilości uczniów we wspomnianym zakładzie. Dowolną tę motywację „Słowa” z zadowoleniem powtórzyła prasa warszawska.

Jak dowiadujemy się ze źródeł miarodajnych, Kuratorjum Szkolne istotnie powiadomiło dyrektora seminarjum p. R. Ostrowskiego o zwinięciu seminarjum z końcem bieżącego roku szkolnego. Powód formalny tego zarządzenia ma pozostawać w pewnym związku z reorganizacją szkolnictwa. Jeżeli się jednak zważy, że zapowiedź likwidacji dotyczy jedynie seminarjum białoruskiego, nie zaś licznych w kraju seminarjów polskich, — to należy takie tłumaczenie przyjąć z wielką rezerwą i poszukać bardziej istotnych przyczyn nieoczekiwanego zarządzenia.

Spółeczeństwo białoruskie sztucznie, lecz skutecznie poróżnione w dziedzinie zagadnień politycznych, było i zostało zgodne w pojmowaniu doniosłego znaczenia szkolnictwa białoruskiego. Wszystkie ugrupowania polityczne od komunizujących do ugodowców zawsze uważały za swe naczelną zadanie zorganizowanie szkolnictwa jako podstawy do normalnego rozwoju narodu. Niestety, zadania te nie zawsze i nie wszędzie w masach ludu wiejskiego znajdowały zrozumienie jako zagadnienia o charakterze kulturalnym, nie związane z warunkami materialnymi.

nie zaczepiał. Ale zdarzył się następujący wypadek. Gniadosz Niespokojniewicz, przez wszystkich leniuchem zwany, ze swego pastwiska zawłókł się na trzęsawisko wsi Pakalnie. Znalazłszy miękką młodą trawę, pałaszował ją ze smakiem.

Pakalniacy więcej cenili trawę niż swe włosy; tak mało jej mieli. Włosów ich można było narwać sobie bezpłatnie w karczmie przy dniu świątecznym, a za trawę trzeba było płacić żywym pieniądzem. Przeto Spokojniewiczowego gniadosza natychmiast spostrzegli i posłali po niego jednego z parobków. Ale Spokojniewiczowie, którzy właśnie pracowali na polu, zauważyli niebezpieczeństwo i nadbiegającego napastnika. Natychmiast też posłali Kaśkę, by ta przyprowadziła gniadego z cudzego terytorjum.

Kaśka jest posłuszną. Skoczyła po gniadego. Ale im bardziej się stara, tembardziej skacze, kręci się, zgina cały kadłub, nogi zaś porządnego kroku zrobić nie mogą. Zmachała się siarczyście, spociła,

wreszcie jednak dopadła gniadego. A napastnik tuż. Więc myśli:

— Jeżeli poprowadzę konia za uzdę, to leniuch będzie się opierał, a jeżeli uderzę, to zupełnie stanie. Lepiej wsiądę na niego i konino ucieknę napastnikowi z pod samego nosa.

Tak pomyślała i tak postanowiła uczynić. Gniady był niewysoki, ale Kaśka nie umiała szwedzkiej gimnastyki. Uderzył gniadego brzuchem w bok, odskoczył i żadną miarą nie może się wdrapać. Widziała, że chłopcom, choćby i zupełnie małym, wystarczy ręką złapać za grzywę, wielkim palcem lewej nogi oprzeć się o końskie kolano i już są na koniu. Ale Kaśka próbowała wsiąść nie z lewej strony, lecz z prawej. Oparła się prawą nogą i już miała wsiąść, ale palec się ześlizgnął, i niefortunna amazonka znowu zjechała na ziemię, uderzając się nosem o szyję konia. Kaśka zakłęta i znowu zaczęła brzuchem uderzać o gniadego. Jeszcze więcej się zmęczyła, zapomniawszy całkiem o napastniku, wreszcie

Mimo jednak większego zainteresowania mas kwestjami gospodarczymi, wieś białoruska wykazała w latach ubiegłych zdecydowaną wolę posiadania szkolnictwa w języku ojczystym. Tak na przykład w roku szkolnym 1925—1926 do inspektoratów szkolnych na ziemiach białoruskich złożono wymaganych przez ustawę deklaracji (podpisywanych przez rodziców 40 dzieci na 1 szkołę) na uruchomienie 412 białoruskich szkół początkowych. Jak wiadomo, żądania te nie zostały uwzględnione. Dla przeszło dwumiljonowej ludności białoruskiej w granicach państwa polskiego w r. 1931 istniały 22 państwowe szkoły początkowe z językiem nauczania białoruskim oraz około 40 szkół utrakwistycznych. Złośliwi utrzymują, że w tych ostatnich po białorusku uczą tylko gimnastyki, rysunku i robót ręcznych. Ile obecnie istnieje takich szkół dokładnie ustalić trudno. Można być jednak pewnym, że powoli się przekształcają one na szkoły polskie.

Zpomędzy rozmaitych powodów odmowy na podania w sprawie otwierania szkół białoruskich władze szkolne stale wymieniały na pierwszym miejscu brak wykwalifikowanych nauczycieli dla szkół białoruskich. Dlatego przedewszystkiem Białorusini nie szczydzili starań o uruchomienie seminarjum nauczycielskiego jako placówki niezbędnej do rozwoju szkolnictwa białoruskiego. Starania te jednak spełzły na niczem. Dopiero w roku 1929 białoruskim posłom sejmowym po raz pierwszy w życiu parlamentu polskiego udało się przy wnoszeniu poprawek do budżetu państwowego wstawić pozycję w kwocie pół miliona złotych na rzecz białoruskich potrzeb kulturalnych. Z tej sumy ustawowo zostało przeznaczonych 250000 zł. na założenie białoruskiego seminarjum nauczycielskiego. Pozostałe sumy były przeznaczone na budowę bursy przy gimnazjum białoruskiem w Nowogródku oraz na wydawnictwa szkolne.

W ten sposób sfery rządzące stanęły przed koniecznością otworzenia seminarjum białoruskiego, tembardziej, że rok 1930 jako, rok wyborów do Sejmu, najmniej nadawał się do odmownego załatwienia tak ważnej sprawy. Pomimo wyraźnego brzmienia uchwały sejmowej o organizowaniu seminarjum *białoruskiego*, władze szkolne dopatrzyły się w tej nazwie czegoś niebezpiecznego, przeto zostało uruchomione w Wilnie seminarjum pod nazwą oficjalną:

„Państwowe Seminarjum Nauczycielskie im. F. Bohuszewicza”. Jest to szczególnie znamienne i w znacznej mierze ułatwia zrozumienie stanowiska rządu względem szkolnictwa białoruskiego. Być może czynnikiem decydującym w nadaniu takiej nazwy uczelni chodziło przedewszystkiem o wprowadzenie do seminarjum jaknajwięcej elementu polskiego. Gdyby tak było, to życie autorom nazwy sprawiło niespodziankę, bo seminarjum, pomimo swej ogólnikowej nazwy oraz utworzenia personelu nauczycielskiego w połowie z Polaków — stało się jednak nawskroś białoruskiem. Na ogólną liczbę 76 uczących się znajduje się zaledwie 7 Polek. Resztę stanowią Białorusini.

Co się dotyczy wydatków na potrzeby seminarjum należy podkreślić, że sumy uchwalone przez Sejm nie zostały całkowicie wykorzystane dla oznaczonego celu, gdyż wydano do chwili obecnej tylko około 80 tys. zł., przyczem Ministerstwo W. R. i O. P. zacerpnęło tę sumę z funduszków ogólnych.

Nieprawdą jest jakoby likwidacja seminarjum wywołana została niewielką frekwencją słuchaczy, jak fałszywie informuje „Słowo”. W rzeczywistości jest wprost przeciwnie. Jak na 2 pierwsze kursy ilość uczących się jest wcale pokaźna, przyczem napływ kandydatów był tak liczny, iż dyrekcja czuła się zmuszoną do przyjęcia nadmiernej ilości uczących się pomimo ciasnoty lokalu i sprzeciwu w tym względzie lekarza szkolnego. Nikt też nie słyszał, by Seminarjum im. Bohuszewicza z punktu widzenia wymagań szkolnych nie stało na wysokości swego zadania zarówno pod względem administracyjnym, jak wychowawczym.

Gdzie więc należy szukać powodów likwidacji seminarjum?

Niestety, nasuwa się tylko jedyne tłumaczenie. „Najnowszy” kurs polityki polskiej w sprawie białoruskiej, który znalazł tak dokładne odzwierciedlenie w artykułach p. Sulimy w „Przeglądzie Wileńskim”, nabiera coraz większej wyrazistości i coraz większego rozmachu. Na całej linii zaczyna triumfować ukryty zrazu pod płaszczkiem „po-majowej” tolerancji jaskrawy nacjonalizm. P. Stanisław Grabski uśmiecha się pewnie ironicznie i zaciera ręce. Inni ludzie, inne czasy, ale pieśni te same..

A. B.

wpadła w pasję i postanowiła za jaką bądź cenę wsiąść na konia. Nie widziała i nie słyszała, że parobek już oddawna stoi obok i pęka ze śmiechu, patrząc na bezowocną pracę Kaśki. Usłyszawszy jego głos, Kaśka ze strachu aż na ziemi usiadła.

— No, dosyć! Oddaj! Ja prędzej wsiądę. Powiedz Spokojniewiczowi, aby bez pięciu złotych nie posyłał! — i pojechał sobie.

— Bez pięciu złotych! Co na to powie gospodarz?! — przemknęło jej po głowie i poczęła lamentować na całe gardło. I z tym lamentem powróciła do domu nie przez pole, na którym pracowali Spokojniewiczowie, lecz przez wieś, tłumacząc wszystkim, że ona niewinna, że gniady taki wielki.

Widziano, jak Kaśka wsiadała, więc śmiano się do rozpuku i krzyczano:

— Ulan Spokojniewicz! Ulan Spokojniewicz! Spokojniewiczom wstyd się zrobiło za Kaśkę.

— Choć weź i zabij tę owcę! — zaklął Spokojniewicz.

Jednak, gdy wróciła, to nietylko jej nie zabił, ale nawet nie uderzył. Dał synowi pięć złotych i posłał go po gniadego, a Kaśce winę darował i byłby zupełnie zapomniał o tym wypadku, gdyby nie sąsiedzi.

Teraz w całej wsi nikt o niczem więcej nie mówił, jak tylko o ułanie Spokojniewicza. Zresztą, żeby chociaż tylko mówiono. Ale to powiedzą: „Ulan Spokojniewicza” i aż pokładają się ze śmiechu. Chłopcy zaczynają odtwarzać scenę, a kobiety przyglądają się temu i pękają ze śmiechu. Nawet najmłodsze dzieciaki i te, gdy ujrzały kogoś od Spokojniewiczów, to ujadają niczem szczeniacki:

— Ulan Spokojniewicz! Ulan Spokojniewicz!

Spokojniewiczowie nawet nosa nie mogli z domu wysunąć.

A najwięcej złość brała, że i Niespokojniewiczowie nie pozostawali w tyle za drugimi. Ci również śmieli się na podwórzu, śmieli się przy stole

Epilog zaburzeń antysemitycznych.

Proces Wulfina, Zalkinda i Oguza, oskarżonych o udział w zabójstwie studenta Waclawskiego podczas pamiętnych zaburzeń listopadowych w Wilnie, dostarczył sporo materiału do niewesołych refleksyj. Oskarżenie zostało zbudowane na tak kruchych podstawach, że w stosunku do dwóch podsądnych Oguza i Zalkinda nawet prokurator rzekł się głosu. Obaj też zostali uniewinnieni z braku dowodów. Zachodzi pytanie: jaka jest w takim razie rola sędziego śledczego? Student Wulfin został jednak skazany na dwa lata domu poprawy. Opinia przyjęta ten wyrok z pewnym zdziwieniem: dla jednych był zanadto łagodny, inni przeciwnie spodziewali się zupełnego uniewinnienia. Najżywszą krytykę wszakże wywołała ogłoszona przez sąd motywacja wyroku. Nawet powszechnie znany „Kurjer Wileński” zamieścił obszerny artykuł wstępny, zarzucający sądowi zbyt ryzykowne wywody na temat stosunków polsko żydowskich.

Rzecz zrozumiała, że w prasie żydowskiej motyw wyroku spotkały się z ostrą oceną. Wszystkie pisma żydowskie zabierają głos i jednomyślnie stwierdzają, że proces Wulfina, dzięki ogłoszonym motywom wyroku, znacznie się rozszerzył. „Na rozprawie w sądzie apelacyjnym — pisze „Grodner Moment” — sędzić będą nie jednego oskarżonego Wulfina, lecz cały ogół żydowski”. W tym samym duchu wypowiadają się „Wiln. Tog.,” „Hajnt,” „Unzer Ekspres” itd.

Z dużą dozą goryczy i sarkazmu omawia wyrok wileński poseł dr. Thon w krakowskim „Nowym Dzienniku”. Zestawia on dwa wyroki — dwa epilogi.

„Prolog także nie odbył się w niebie, tylko gdzieś w jakimś piekle. W jakiejś ohydnej speluncie endeckiej zebrał się sztab generalny górnej i chmurnej młodzieży endeckiej i delegował swoich ludzi do różnych uniwersytetów polskich, a także do wileńskiego, by w nich wywołać „samorzutny” „żywiolowy” gniew studentów polskich przeciw Żydom. Zna się nawet już dokładnie kilku z tych bohaterów, którzy aranżowali wybryki wileńskie. A jakże! Już ich nawet doścignęła karząca ręka sprawiedliwości aż w samej stolicy, dokąd po dokonanej pracy spokojnie wrócili. Stało ich kilku przed sądem i zostali surowo ukarani grzywną do 10 zł... Tylko jeden z nich, herszt ich, który już zbyt ostro agitował, doczekał się jeszcze surowszej kary, bo aż — 20 zł... Otóż ten proces warszawski był jednym epilogiem.

Inny pokrój miał epilog w Wilnie. Tam już sądzony byli Żydzi, sami Żydzi, tylko Żydzi. To nie jest zrozumiałe? Pytają się: jakże Żydom pociągać do najsurowszej odpowiedzialności, kiedy oni się znaleźli w defenzywie, nawet w dosyć rozpaczliwej obronie, skoro ich było znacznie mniej, niż tych, co na nich napadali?

Kto się tak dziwi, kto tak naiwnie pyta, zdradza tylko brak znajomości historii żydowskiej od pierwszych średnich wieków aż do dnia dzisiejszego. Otóż trzeba sobie raz na zawsze zapamiętać jakie prawo historyczne — *dura lex, sed lex!* — taki porządek: samoobrona Żyda przeciw napastnikowi jest karalna. Nigdy się Żydowi niczego bardziej nie zapomni i nie przebaczy, jak tego, że się obronił. O rosyjskim żołnierzu mówił się, że czeka na komendę, żeby mu głowa spadła. Otóż w uderzeniu pałką na Żyda jest już zawarta właśnie ta komenda, że on ma upaść, ranny, czy martwy — to już zależy od splotu danych okoliczności. Paść musi, i biada mu, jeśli próbuje się bronić. Na taką samoobronę arogancką istnieją mocne paragrafy w różnych kodeksach karnych.

I stało się w Wilnie, że się Żydzi bronili. Widocznie nie znali owego prawa historycznego, albo go znać nie chcieli. Litwin — Żyd, czy nie Żyd, to krewki człowiek. Toć sam Marszałek Piłsudski chwalił się przy otwarciu Sejmu Ustawodawczego tem, że jest Litwinem, a więc wytrwałym, czy zawziętym. Na wszelki wypadek łatwo nie ustępuje. Żydzi wileńscy widocznie także takiego są pokroju i nie padli na komendę. Przeciwnie — próbowali się bronić. To też ich należyta spotkała kara. Tam się lata sypią. Jeden, jakiś robociarz, został zasądzony aż na trzy lata, chociaż laik, czytający najdokładniej różne sprawozdania z odbytej rozprawy sądowej w żaden żywy sposób nie może się domyślić jakich konkretnych czynów okropnych on się dopuścił. Słyszało się tylko, że nie dopuścił atakujących do żydowskich sklepów, które przecież faktycznie w olbrzymiej liczbie splądrowano i zniszczono”.

Przechodząc dalej konkretnie do procesu wileńskiego, autor przeprowadza analogję między głównymi świadkami oskarżenia we wszystkich podobnych procesach:

„Przed sądem stało dwóch młodzieńców żydowskich, wcale nie-akademików, pod zarzutem zabójstwa s. p. studenta Waclawskiego. I znalazła się jedna białogłowa, która na własne oczy widziała, jak ci dwaj młodzieńcy, Zalkind i Oguz, zabili i w jaki sposób to zrobili. Skąd się ta czcigodna dżewica wzięła tak nagle? Oh! Mamy olbrzymią galerję tych świadków płci pięknej, którzy widzieli swoim okiem wszystko, co się działo naokoło. A widziały te niewiasty zazwyczaj na dalekiej odległości i duże horyzonty Widziały wszystkie szczegóły, — możliwe i niemożliwe. W Kijowie (w procesie Bejlisa) taka zacna niewiasta miała pamiętne nazwisko Szczerbiakowa, we Lwowie (w procesie Sztajgiera) Pasternakówna, w Wilnie Łebkowska.

Do tej galerji dr. Thon zalicza głównego świad

i wyglądali przez okno ku Spokojniewiczom, którzy widząc to palili się ze wstydu i wściekali z gniewu.

W sercu Spokojniewicza złość na całą wieś przerodziła się w złość na jednego Niespokojniewicza. Tamtych nie widział, a tego cały czas miał przed oczami. Przyłączyła się i dawna niechęć. I począł zbierać w sercu Spokojniewicza gniew okrutny.

Nawet Spokojniewiczowa nic nie mogła poradzić. I baranem go nazywała, i żartowała, i po głowie głaskała, i w nocy tuliła się miłośnie — wszystko na nic. Spokojniewicz zamilkł zupełnie, nocami rzucał się na łóżku, zębami zgrzytał. Jakgdyby szatan go opętał. Ponury nastrój zapanował w chacie. Nie słysząc było śmiechów.

I w sercach młodych Spokojniewiczów szatan również zasiał ziarno nienawiści. Do Niespokojniewiczów nikt więcej nie szedł. Ci wiedzieli z jakiego powodu i również nie chodzili do Spokojniewiczów.

Upłynął tydzień, drugi. Wszystkim dokuczyla ta komedja i wreszcie przestano się śmiać. Niespo-

kojniewiczowie zaczęli tęsknić do sąsiadów i wstydzili się swych drwin. Już chcieli pójść z przeprosinami i pogodzić się, ale ojciec nie pozwolił.

— Co nie, to nie. Dla takiego głupstwa. Jeszcze się nadmą...

Niewiadomo czem by się to wszystko skończyło, gdyby nie nowa historia z Kaśką, która uwagę całej wsi zwróciła ku drugiej stronie.

Idzie Kaśka środkiem drogi i drapie się po zębach z takim przejęciem, że tylko łokcie widać. Kiedy Kaśka co robi, to robi z całej duszy. Tak też i teraz. Wszystkie jej myśli skoncentrowały się przy palcach, jakby to je głębiej wpakować w zanadrze. I nie zauważyła całkiem, jak wlaźła prosto na Niespokojniewiczowego psa, który leżał sobie wygodnie w piasku przy drodze.

Był to całkiem marny kundel. Nietylko, że nie gryzł nikogo, ale nawet nie szczekał. Umiał tylko czatować pod stołem na skórkę chleba czy też kość jaką i wylegiwać się całymi dniami i nocami. Nie zarea-

ka przeciwko Wulfinowi, również kobietę Opanowiczównę. A w końcu zapytuje z całkowitą słusnością.

„Przypuśćmy, że Wulfin faktycznie czynny brał udział. Pytanie jest tedy: Jakie po temu miał motyw? Czy miał nienawiść rasową do tej polskiej młodzieży, która przyszła bić jego i jego braci? Czy on wyprawiał się na nich, czy oni na niego? Czy okazywał im nienawiść ślepa, tępa, zwierzęcą wyrzucając ich i ich siostry ze sal drzwiami lub, jeszcze chętniej, — oknami? Czy to do niego przybyli jacyś emisariusze z Warszawy, by go rozagitować, aż do utraty przytomności przeciw jednej rasie, jednej narodowości, jednemu wyznaniu? Nie. Nic takiego nie zaszło. On siedział spokojnie w swoim domu, oddawał się pilnie swoim studjom, nikomu w drogę nie wchodził, nic go nie raziło, ani martwiło, że jeszcze inni korzystają razem z nim z nauki i żywią się u tej samej matki-karmicielki, w tej samej Alma Mater. Nie mając ani cienia nienawiści w młodzieńczej duszy, widział się nagle napadniętym, wyrzucanym, poniewieranym, pomiatanym. Wtedy się w nim wzbudziło jakieś dziwne klujące uczucie, które jednak wcale do nienawiści nie było podobnem, a było tylko — gniewem. Czy taki gniew jest — karalny? Czy taki gniew, zrodzony z ludzkiej godności i młodzieńczego entuzjazmu, zasługuje na potępienie? Jeżeli istotnie tak jest, to zdrowy rozum ludzki musi się na gwałt domagać bardzo gruntownej rewizji kodeksu karnego. Ten bowiem nie może w żaden sposób pozostać wrażającej sprzeczności z tem, co dyktuje prosty rozum i proste uczucie.

Na sali sądowej w Wilnie padło jedno słowo okrutnie obelżywe. Padło z ust prokuratora: „*bestjalstwo!*“ Tem słowem chciano scharakteryzować poczynanie Wulfina. A po wyrzuceniu tej zatrutej strzały zemdlął p. prokurator i nastąpiła dłuższa przerwa. Młody Wulfin miał czasu trochę przemyśleć to, co usłyszał. I zapewne niezmiernie się dziwił: Jakżeż — to ten, który na mnie napada i wbija we mnie swoje kły i pazury, jest miłą owieczką, a ja, skoro odrzucam tę ohydłą zbroję zwierzęcą jestem — zwierzem? To jakaś mylna nomenklatura, jak cały epilog wileński jest — niespodzianka...”

Istotnie, trzeba przyznać, że kodeks karny bardzo często pozostaje w sprzeczności z logiką zwykłego śmiertelnika. Uczni juryści powiadają, że winna temu jest logika...
J. H.

Biblijografia.

Łowmiański Henryk. *Studja nad początkami społeczeństwa i państwa litewskiego*. Nakładem T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie. T. I. Wilno 1931. T. II. Wilno 1932.

W dziejach szczepu litewskiego — czytamy we

gowałby wcale, gdyby zbóje napadli na Niespokojniewiczów, tembardziej więc nie zwracał uwagi na sąsiadów, których nawet Niespokojniewiczowie od swoich nie odróżniali. Ale ponieważ smacznie spał, a tu Kaśka wlała na niego zniecka i boleśnie nadepnęła mu na łapę, więc skoczył na równe nogi i oszalał ze strachu chwycił siębami wypracowaną się na ziemię Kaśkę. Trafił na mięki posładek i ugryzł boleśnie. Potem zawstydził się i, nie umiejąc przeprosić za omyłkę, ze spuszczoną głową powłókł się ku stodole, wzrok wstydliwie w ziemi utkwivszy.

A Kaśka zaczęła wrzeszczeć, jak opętana. Idzie zadartyszy kieckę, i wrzeszczy i opowiada wszystkim, że pies Niespokojniewicza bez powodu ją ugryzł.

— Już to wszyscy Niespokojniewiczowie tacy, nietylko ich Burek!... — dodała chcąc ulżyć sobie.

Ze wszystkich chat cisnęli się ludziska, by popatrzeć na rzadko nadarżające się widowisko. Otoczono Kaśkę dookoła, żartowano z niej i udawano

wstępie do omawianej pracy — okresem przełomowym jest wiek XIII, zamykający epokę bytu plemiennego i opartego na prastarych zasadach obyczajowych i organizacyjnych, jakie sięgają wstecz bodaj do źródeł wspólnych wogóle ludom aryjskim. Zarazem XIII w. otwiera epokę nową — wejścia Litwy w krąg cywilizacji rzymskiej i chrześcijańskiej, której pierwiastki będą odtąd oddziaływać na kulturę rodzimą z coraz większą siłą, przenikając dwiema drogami: przez Ruś — w odmianie bizantyjskiej oraz przez Niemcy, a następnie przez Polskę — w odmianie łacińskiej. Przełom ten znajduje początkowo najbardziej istotny wyraz w zmianie form ustrojowych: w XIII w. powstaje monarchja litewska na miejscu dawnego ustroju politycznego, w którym zasadniczym związkiem państwowym było plemię.

Przeobrażenia wewnętrzne odbywały się w zależności od zmian w zewnętrznej sytuacji politycznej. Od ostatniej ćwierci XII wieku Litwa wstępując na widownię historyczną jako siła aktywna, szerząc działalność na razie destruktywną, łupieską na ogromnej połaci przyległej Rusi. Niebawem dosięga Litwy, a przedewszystkiem uderza w pobratymcze szczepy łotewski i pruski fala ekspansji niemieckiej i na gruzach politycznej niezawisłości tych ostatnich tworzy nową potęgę, która w bliskim czasie zaważy również na dziejach Litwy. W związku z rzeczoną ekspansją wchodzą w grę momenty, budzące specjalne zainteresowanie ze stanowiska badań historycznych: dzięki zetknięciu się ze światem ruskim i zachodnim Bałtowie przedtem nieznanymi stają się coraz głośniejsi we współczesnych kronikach i aktach. Odtąd dopiero można zacząć odtwarzanie ich historii w ciągłym, chociaż ogólnym obrazie, w którym znajdują miejsce i ludzie, stojący u steru polityki i mechanizm oraz motywów działań. Odtąd też staje się możliwe wejście w wewnętrzną strukturę społeczeństwa.

Praca dr. Łowmiańskiego — jak oświadcza autor — jest poświęcona zbadaniu form społecznych i państwowych Litwy XIII wieku w momencie epoki plemiennego końcowym, a najwcześniejszym, jaki jest dostępny dociekaniom społeczno historycznym, opartym o źródła pisemne. Odtworzenie form bytu plemiennego rzuca też światło na genezę monarchji litewskiej, ułatwiając poznanie procesów konsolidacji państwowej Litwy; wyjaśnienie rzeczowej genezy stanowi cel ostateczny studjów dr. Łowmiańskiego

chęć ucieczki, gdy Kaśka dla potwierdzenia swych słów zamierzała pokazać poszkodowane miejsce.

Im głośniej Kaśka lamentowała, tem głośniej śmieli się wszyscy, ciesząc się, iż doczekali się nowej rozrywki. Otoczyli nadchodzącego dziadka Michała i wszyscy naraz zaczęli mu opowiadać o nieszczęściu Kaśki. Nie mogąc nic zrozumieć, dziadek zwrócił się do głównej bohaterki komedji i, wypytawszy o wszystko, wciąż z taką samą powagą, swą szeroką dłonią przeciągnął po zranionem miejscu i rzekł:

— Głupstwo! Niespokojniewiczowy Burek tylko pocałował... Wszyscy Niespokojniewiczowie już od dawna Spokojniewiczów całują...

Kaśce po tych słowach zaraz lżej się zrobiło. Uśmiechnęła się radośnie, pocałowała dziadka Michała w rękę i, jakby nigdy nic, poszła sobie do domu. I zaraz zapomniała o wszystkim.

(D. c. n.)

Jak się wywiązał autor ze swego zadania, o tem mogą sądzić tylko specjaliści — historycy. Jednakże nawet laik może stwierdzić ogrom wiedzy i pracy włożonej w swe dzieło przez młodego badacza, który, mimo że nie jest jeszcze profesorem, posiada tak rozległą erudycję. Jest to wypadek bardzo szczęśliwy, że dr. Łowmiański, którego karjera naukowa tak świetnie się zapowiada, zechciał poświęcić się studjom nad przeszłością Litwy. Szczupły dorobek naukowy w tej dziedzinie prawdopodobnie powiększy się nie o jedną jeszcze cenną pozycję, sądząc z tej zapowiedzi, jaką stanowi omawiane dzieło.

a.

Valančius Raštai su autoriaus paveikslu. Redagavo ir žodynėlį pridedo J. Balčikonis. Kauno 1931.

Nowością literacką rynku księgarskiego w Kownie jest wydanie zbiorowe utworów beletrystycznych biskupa Wołonczewskiego. Pisma te zalecają się niezwykłą prostotą i czysto żmudzkiem stylem ludowym, miejscami przeplatanym zdrowym naturalnym humorem. Wołonczewski, to znakomity obserwator i niezrównany znawca duszy żmudzkiej. Redaktor prof. J. Balčikonis pozostawił nietkniętym tekst jego opowiadań, z wyjątkiem rzadkich poprawek syntaktycznych, polegających na poprzesztawianiu słów w zdaniu, gdzie ich szyk był już zbyt przestarzały. Mało zrozumiałe żmudzizmy Wołonczewskiego zostały wyjaśnione w osobnym słowniczku dodanym na końcu.

Spory ten tom o 487 stronach in 8^o, kosztuje bez oprawy 6 litów, w pięknej zaś oprawie 8 lit.

S.

Wyjaśnienie biskupa Chomyszyna.

Polska Katolicka Agencja Prasowa otrzymała od J. E. Ks. Biskupa Grzegorza Chomyszyna Ordynariusza Stanisławowskiego grecko-katolickiego pismo następującej treści:

„Doszło do mej wiadomości, iż przeciwnicy unijnej akcji w Polsce, w tej części kraju, który był pod zaborem rosyjskim, powołując się na mój list pasterski o bizantyzmie, uważają obrządek bizantyjsko-słowiański poza byłą Galicją, jako esencjonalnie różny od obrządku grecko-katolickiego w byłej Galicji, również jako przeciwny konkordatowi, a wślad za tem także całą akcję unijną, jako przeciwną konkordatowi.

Wobec tej opinii oświadczam, że w moim liście nie zaznaczyłem, ani nie miałem zamiaru zaznaczyć esencjonalnej różnicy między obrządkiem grecko-katolickim w byłej Galicji, a obrządkiem poza byłą Galicją, bo gdy chodzi o esencjonalną różnicę obrządków, to o takiej nie możnaby twierdzić nawet między obrządkiem łacińskim, a wschodnim, gdyż oba wyrosły z tego samego korzenia i pnia. Przedstawiłem tylko, jak prosty lud, który nie rozróżnia spekulatywnie i teoretycznie różnic obrządku, reaguje i gorszy się formami obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w tutejszej prowincji byłej Galicji wprowadzonymi, tak dalece, że w jednej parafii spora część parafjan z tej przyczyny raczej wolała porzucić obrządek grecko-katolicki, a przyjąć obrządek łaciński, niż formy bizantyjsko-słowiańskiego.

Zaznaczenie formalnej różnicy między tutejszym obrządkiem grecko-katolickim a obrządkiem w tej części kraju, która należała do zaboru rosyjskiego, nie ja spowodowałem, lecz pewne sfery kościelne Polskie, które począwszy od jakich dziesięciu lat, podkreślały i silnie markowały tę różnicę przy każdej sposobności, żeby w ten sposób postawić kordon między obrządkiem grecko-katolickim byłej Galicji, a obrządkiem wschodnim poza byłą Galicją, i dlatego temu obrządkowi nadano nawet inną nazwę. O tem świadczą spora część publikacji polskich, zwłaszcza kościelnych. Tym obrządkiem nawet chętno się, a nasz obrządek grecko-katolicki nazwano s k a r a d z i e ń s t w e m.

Wobec tego nie mogę zrozumieć, jak może ktoś powoływać się na mnie, w sprawie różnicy obrządków. Ja nie spowodowałem tej różnicy, a tylko w moim liście skonstatowałem ją i na nią powołałem się, a ponadto wyraziłem w liście moje przykre zdziwienie, że obrządku, jako rzeczy świętej, nie traktuje się prosto i należycie, stosownie do jego przeznaczenia, lecz naciąga się go do spraw czysto ludzkich. Również i teraz wyrażam moje przykre zdziwienie, że te same sfery, które przed tem tak silnie podkreślały tę różnicę, teraz zaczynają jednak glosić, że niema różnicy, że to ten sam obrządek!

Nawet co do obrządku bizantyjskiego, to w liście moim nie wystąpiłem przeciw niemu jako takiemu, to jest samemu w sobie, lecz starałem się tylko napiętnować ducha bizantyzmu, który ja dem swoim zatrul i dotąd zatrzuwa narody wschodnie. I dlatego również zaznaczyłem, że nazwa „bizantyjski“ (obrządek) nie cieszy się u nas popularnością, owszem razi, bo przypomina nam tak żywo ducha bizantyzmu. O obrządku zaś grecko-katolickim u nas przyjąłem, o jego postępie i rozwoju, o nabożeństwach i praktykach pobożnych, przyjętych z zachodniego Kościoła, tak koniecznych dla rozbudzenia ducha wewnętrznego i życia religijnego z wiary, a w ślad za tem o przyjętych pewnych nowych formach tego obrządku, bez zatracenia jednak cechy wschodniej, napisałem w myśl dekretów Papieskich z minionych stuleci, jak również na podstawie tradycji, począwszy od św. Józafata, męczennika za Unję św., a przede wszystkim na podstawie naszych Synodów, przez św. Stolęcę aprobowanych i potwierdzonych.

W końcu oświadczam, że napisałem mój list bez żadnej konspiracji, bez żadnej zmywy lub jakiegokolwiek porozumienia z jakimi bądź czynnikami, czy to świeckimi, czy duchownymi, politycznymi, czy społecznymi. Napisałem mój list zupełnie samodzielnie i odruchowo, nie kierując się zamiarami nacjonalistycznymi, lub politycznymi, lecz jedynie dobrem sprawy katolickiej. Również chciałbym mój kler i wiernych ostrzec przed szkodliwym w skutkach chaosem, jaki zaczął się wkradać w prowincji kościelnej w Galicji, przez wprowadzanie form obrządku synadalno-rosyjskiego, nazwanego w Polsce najprzód wschodnio-słowiańskim, a następnie bizantyjsko-słowiańskim. Zaznaczam również, że pisząc mój list, zupełnie byłem nieświadom silnego reagowania, już od początku, przeciw unijnej akcji w jej dzisiejszej formie, na ziemiach z pod byłego zaboru rosyjskiego. O tem wszystkim dowiedziałem się dopiero po napisaniu mego listu. A zatem mój list zupełnie nie był przyczyną, ani pobudką do reagowania ze strony przeciwników. Reagowania i sprzeciwu przeciw teraźniejszej akcji unijnej z pośród społeczeństwa polskiego były, są i będą bez względu na to, czy byłbym napisał mój list, czy nie. A czy one są uzasadnione, to należy do rozważenia przez kompetentną władzę kościelną.

Do jednej tylko winy poczuwam się, a mianowicie, iż gdy pisałem mój list, wypadł mi z pamięci dekret św. Stolicy Apostolskiej, mocą którego cała unijna akcja w tej części państwa Polskiego, która była pod zaborem rosyjskim, oddana została pod jurysdykcję Papieskiej Komisji pro Russia. To moje przepomnienie wyznaję i wobec tego wszystkiego, co napisałem w sprawach kościelnych obrządkowych i unijnych, do tej części kraju odnoszących się, jako usuwające się tem samem z pod mojej kompetencji, z listu mego wykreślałem. Odnosi się to także i do uwag, podanych w moim liście, co do działalności unijnej O. O. Redemptorystów obrządku wschodniego, a przede wszystkim O. O. Jezuitów.

(—) † Grzegorz Chomyszyn

Biskup Stanisławowski obrz. grecko-kat.

OGŁOSZENIE.

Na zasadzie uchwał walnych zgromadzeń z dnia 6/I-1930 r. i 8/III-1931 r. Stowarzyszenie spółdzielczej księgarni „WIOSNA” w Świecianach z odpowiedzialnością udziałami znajduje się w stanie likwidacji.

Na zasadzie art. 76 ust. o spółdzielniach z dn. 29/X-1920 r. (D. U. R. P. Nr. 111 poz. 733) wzywa się wszystkich wierzycieli do zgłoszenia swych pretensyj na ręce likwidatorów.

Likwidatorzy.

